Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 38. Poznań dnia 17. Grudnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

Kilka słów o teraźniejszych Widowiskach i Romansach francuzkich.

Dla Francuza jest teatr tém, czém dla ryby woda; a lubo obecnie pewna oziębłość w tym względzie spostrzegać się daje, przecież ona długo nie potrwa. Jedno ważniejsze literackie zjawisko zdolne jest na nowo ożywić ostygły zapał. Poeci suszą teraz sobie właśnie nad tém głowę, aby ten dla teatru upragniony moment przyspieszyć. Potworność i okropność już z gruntu wyczerpnięta i zużyta; publiczność znowu tesknić zaczyna za piękną i wdzięczną formą. Wolno już teraz znowu pokazać się na scenie cnocie i domowéj szczęśliwości. Lud poklaskuje z wściekłością małżonce niezachwianéj wiary, a groźną pięścią zwodzicielowi potrząsa. Ohydna intryga straciła zupełnie powab, a sprosna zbrodnia, która dotąd samowładnie na scenie francuzkiéj panowała, już się wcale pokazać nie może. Wieże Nesle wzbudzają teraz powszechne oburzenie, albo uszczypliwe szyderstwa. Sam nawet »Kaligula« nie odważył się tak niemoralnym wystąpić na scenie, jakim był w senacie i na rynku rzymskim. Naprózno Dumas i jego przyjaciele usiłowali przekonać publiczność, że Kaligula był w istocie opętanym tyranem, wylanym na wszystkie bezeceństwa i zbrodnie; na próżno, mowię, dowodzili, że występek w tak oburzającéj i niecnéj postaci wystawiony, nie tylko nie zyskuje zwolenników, ale owszem zgrozą serca przejąć powinien. Sztuki, którąby sama sobie była celem, bez moralnéj dążności, jakim jest dramat tak nazwanych francuzkich Romantyków, nikt już teraz nie chce. Prawie wszyscy fueilletoniści marzą ciągle o owéj szyllerowskiéj maxymie estetycznego ukształcenia ludzkości za pomocą sceny. — Zmieniona ta tendencya i w romansie coraz jest widoczniejsza. I tu już nie ubiegają się za owym labiryntem okropności i zbrodni, a romans dzisiejszy (n. p. Souvestre) przypomina czuło pasterską poezyą Floryana. Jeżeli już po dramacie wymagają, aby poprawiał obyczaje i wpływał na moralność, to tym bardziéj po romansie, żeby nadto pouczał. W tym względzie dzielą się pisarze na różne klassy. Najprzód są tacy, co tylko dla młodzieży piszą, i ci wydali już niezmierną moc książek, gdzie wszystkie gatunki cnot tak w teoryi, jak i w powabnych przykładach, osłodzonych wszystkiemi wdziękami czarującéj wymowy, nakształt ocukrzonych migdałków, wystawione widzimy. Osobny gatunek tych pism stanowią dziełka przeznaczone dla osób niższego stanu bez wychowania. Szkoda tylko, że właśnie te osoby najmniéj z nich korzystają. Są to pospolicie dziełka wydawane z natchnienia rządu przez Akademią moralnych nauk, mające za cel upowszechnienie religijnych zasad i posłuszeństwa władzom krajowym. Gdy atoli te książki z przyczyn dość jawnych mało mają pokupu, akademia bezpłatnie je między ludem rozrzuca; ale i to nie na wiele się przyda, bo książka bez ceny nie ma w oczach właściciela żadnéj wartości; a co z strony rządu w tym względzie wypływa, obudza tem samem podejrzenie.

Dążność ta ogłaszania gwałtem zasad, przez rząd za zbawienne uznanych po między massą ludu, i w dziełach historycznych spostrzegać się daje, o których tu dla tego się tylko wspomina, iż oppozycya, a nawet cała Francya z nadzwyczajnie ostrożną nieufnością tak uczynną przysługę rządową przyjmuje, mając się na baczności, aby umysły pod pozorem cnoty i pobożności, do ślepego posłuszeństwa i niewoli nie były wdrażane.

Ktoby się teraz o przyczyny téj zmiany w teatralnéj i romansowéj literaturze zapytał, ten oprócz wielowładnéj u Francuzów mody, następujące niech zważy okoliczności.

Francuzi jakkolwiek popisują się ze swojem osławionem juste milieu, który prawdę mówiąc, jest istotną ironią francuzkiego charakteru, byli i są najpochopniejsi do wykraczania z granic średniéj miary, do któréj się tak często odwołują. Owoż tedy Francuzi poezyą tak nazwaną romantyczną, polegającą u Niemców na fantastycznym mistycyzmie, u nas na smętnych dźwiękach z

rozdartego serca długo tłumionych, tem więc silniéj się wydzierających, przekształcili swym excentrycznym sposobem, na poezyą, jak ją p. Grabowski nazwał, szaloną. Ich zawołane sztuki dramatyczne są stekiem samych brudów, popisem samych grizettów, nierządnic i gachów. Uczciwi ojcowie i matki wzbraniali dziełom takim przystępu na łono familii, unikając ich zarazy, gdyby jakiéj azyatyckiéj dżumy. Rewiewy i magazyny stały się od tego czasu jedyną ucieczką rodziców i dzieci; a pod względem widowisk musiał się biedny ojciec wprzód naocznie przekonać, czy jego familia będzie mogła bez zarumienienia widzieć tę lub owę sztukę. Ta okoliczność pozbawiła wielu pisarzy romansów czytelników, a teatr widzów; strata, którą teraźniejsi dyrektorowie teatrów najlepiéj czują. Jeżeli dotąd spekulacya literacka opierała się na zepsuciu ludzkiego serca; wkrótce pokazało się, że więcéj jest przecie na świecie ludzi uczciwych, przestrzegających obyczajności, niż lekkomyślnych i występnych. Jakoż powtarzane tylokrotnie wystawy w *Teâtre français* sztuk obyczajowych i moralnych zdają się zapowiadać zupełne oczyszczenie sceny ze wszystkich straszliwych niegodziwości. Vaudeville *) nawet z mody wychodzić zaczyna, i takie się tylko sztuki najlepiéj trzymają, w których dziadek otoczony licznem gronem wnucząt bez obawy na scenę spoglądać może.

Trudno jest od razu wszystkie gorszące z repertoryum wyrugować sztuki, gdyż nowe nie tak łatwo z rękawa wytrząsnąć, a prócz tego są one dziełem autorów szeroko teraz na parnasie francuzkim władnących; dla tego dyrekcye dawają tylko w pewne dnie takie nieczyjego ucha nie obrażające sztuki; ale ponieważ dochód w tych dniach jest zwykle największy, przeto rachuba jest czysta i niewątpliwa.

Teraz albo nigdy w Francyi pojedna się romantyzm z klassycyzmem. *Teâtre français* zdaje się wierzyć w to pojednanie, czyli raczéj w zwycięztwo już na głowę porażonego klassycyzmu. Corneille, Racine, Voltaire występują tu nanowo w całéj promienistéj okazałości swéj dawnéj chwały. Rewolucya ta tak prędko dokonana jak lipcowa, jest dziełem młodéj szesnastoletniéj panienki, nazwiskiem Rachel. Ona to jest królową téj dramatycznéj rewolucyi. *)

(D. A.)

*) Przekonani jesteśmy, żeby niejeden krytyk potępiający ten rodzaj sceny, zmienił swoje zdanie, gdyby własnemi oczyma przypatrzył się sztukom w teatrach boulevardowych. Życie i jego zabiegi wystawiają się tu z strony wesołéj. Mowa, śpiew, muzyka, taniec, mimika, połączyły się jak najściślej, aby nam właściwy francuzkiemu narodowi wdzięk i ruchliwą żywość w jak najżywszych farbach przed oczy wystawić. Ktoby się chciał przekonać o potędze scenicznéj sztuki, ten niech w domu przed lub po teatrze przeczyta sam dla siebie text widzianéj sztuki, a podobno nie uwierzy, że to ta sama. Aktorzy Vaudevillów są w istocie prawdziwi czarownicy, posiadają bowiem tyle zwodniczych i porywających do omamienia sposobów, że najmrukliwszy lichwiarz, najzgryźliwszy osowiały filozof rozśmiać się musi. Główną ich szkołą jest miasto, miasto, które po stu latach jeszcze wyczerpnięte nie zostanie, paryzkie bowiem życie jestto niezgłębiony ocean miotany falami.

*) Feuilletoniści głoszą na wyścigi pochwały téj nowéj bohatyrki. Dla P. Janina otworzyło się, gdyby dla drugiego Louis Filipa, szerokie pole do chwały i zysków niewyczerpanych, buja on teraz w swoim elemencie i pisze jeden zwycięzki buletin po drugim. — Osobliwszą jest rzeczą, że ten nadzwyczajny talent wzrosł dziko. Rachel, która obecnie ma przy Téâtre français 20,000 franków dochodu, była jeszcze przed trzema laty nieszczęśliwą, opuszczoną sierotą. Zrodzona z rodziców ubogich, w największéj nędzy, już od siódmego roku musiała sama o sobie myśleć; chodziła więc po bulewarach, kawiarniach, śpiewając piosnki, których się ze słuchu nauczyła, i szczęśliwą była, gdy jéj kto na talerzyk pokornie w ręku trzymany raczył jeden sous rzucić. Często jednak nócąc naprożno dzień cały, powracała wieczorem z prożnym talerzykiem ze łzą w oku do swego nędznego mieszkania, umierając prawie z głodu. P. Choron, utrzymujący u siebie szkołę śpiewu, usłyszał pewnego wieczora śpiew téj dziewczynki. Była to zima, żal mu było dzieciny, któréj głos tak był miły, zatrzymawszy się więc, zapytał jéj: »Któż cię uczył śpiewać?« »»Nikt,«« odpowiedziała, »»śpiewam, com słyszała.«« Domawiając tych słów drzała od mrozu. »Zapewne ci zimno?« »»O! i bardzo, a do tego głodna jestem.«« Szlachetny Choron wziął ją z sobą, przyodział i w swym instytucie umieścił. Jéj postępy były niezmierne, a Choron zwykł był powtarzać do swych przyjaciół: »Zobaczycie, co z niéj będzie.« Na nieszczęście umiera Choron, instytut jego poszedł w rozsypkę, a biedna Rachel po drugi raz bez przytułku została. Wstydząc się już teraz żebrać, jak dawniéj, a czując w sobie skłonność do teatru, zaczęła się do tego zawodu sposobić u p. Saint Aulaire, mającego szkołę deklamacyi, ztamtąd dostała się do teatru, którego teraz jest najcelniejszą osobą. Nie jest wcale piękna, lecz gwałtownością uczucia wszystkich widzów serca porywa.

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Jak to Pan Gadulski wnuczce swojéj dawne miłostki opowiadał.

Z starego rękopismu.

Nie taka miłość, wnuczko kochana,
Za moich czasów tam była.
Miłość ta Bożą wolą [1]) nazwana,
Z wolą się starszych godziła.

Gdy się w kim krasą urodnéj dziewki [2])
Strzelisty affekt roznieciał,
Nim jeszcze do niéj smalił cholewki, [3])
Ojcu się wprzody zalecał.

A ojciec czekał, co rzeknie matka,
I stryjów zdania gromadził,

[1]) Czuć Bożą wolą do kogo, było to samo co teraz kochać się w kim.

[2]) Dziewką każdą nazywano Pannę.

[3]) Smalić cholewki, koperczaki stroić a nawet aprztyfikować się, znaczyło co teraz — umizgać się.

Pytał o wolę babki i dziadka,
Jezuity [4]) zwłaszcza się radził.

Innym też wówczas był gust niewieści,
Chłystek się w serca nie wnęcał,
Dawniejszy Luboń [5]) miał lat trzydzieści,
I już wąs dobrze zakręcał.

Kto chciał być miłym oczom Bogdanki,
Chełmem się, zbroją okrywał;
Taki to tylko swéj Imościanki
Rękę i serce zyskiwał.

Chwackiż to gaszek był w dawnych latach,
Musiał przy Pannie się zwijać,
I na ognistych sadzić bachmatach,
I kulę kulą wybijać.

Musiał on gracko uciąć mazura
I srebrną krzesać podkówką,
Musiał w powietrzu rozebrać kura, [6])
A gęsto machać krzyżówką.

Największych nawet kluczów dziedziczka
Mogłaż tam uciec z serduszkiem,
Kiedy tak szczerze spijał z trzewiczka,
A zawsze pełno i duszkiem.

Zagrzmiała trąba, błysnął proporzec,
Ruch, rwetes w całéj krainie;
On głaszcząc wąsik, przed stary dworzec
Na dzielnym przypadł turczynie.

Nie mdlała Panna, ni z trwogi bladła,
Ścisła dłoń zbrojnéj prawicy,
Złote mu serce na szyję kładła,
Z obrazkiem Boga Rodzicy.

I odtąd codzień u stóp się Bóstwa
Z koronką w ręku modliła,
I sama piekła chleb dla ubóstwa, [7])
Niedziołki nawet suszyła. [8])

A gdy znów Siwosz przed dwórca progiem
Pod dzielnym zagrzmiał młodzieńcem,
Z całém swém szczęściem padła przed Bogiem,
Z wstydliwym wyszła rumieńcem.

On jéj o bitwach krwawych i dziarskich,
O wodzu-królu, powiadał,
A całe snopy szablic tatarskich
Przed nogi ojca jéj składał.

I wkrótce, wkrótce, w wiejskim kościołku
Kapłan ich dłonie zjednoczył,
A dziaduś z wnuczką; na jéj wesołku,
Po raz ostatni podskoczył.

Lecz gdzież te czasy, co niegdyś były,
Zbiegły, ach wiecznie już zbiegły
W sercu téj ziemi, na dnie mogiły
Wraz z starą cnotą poległy!

---

4) W każdym zamożniejszym dworze był Jezuita, najczęściéj członek rodziny, który był wyrocznią całego domu.

5) Luboń, lubonia — kochanek, kochanka — patrz Linde.

6) Każdy młodzian dobrze wychowany musiał umieć rozbierać kuraka na powietrzu, a gdy zawstydzić go chciano za podsiedzenie kogoś godniejszego przy stole, kładziono skrycie wewnątrz szpikulce żelazne i wołano: nie daj się kurku!

7) Na znak wielkiéj ofiary religijnéj — w czasie wyprawiania nabożeństwa za dusze rodziców — lub gdy pokutowało we dworze, Panie i Panny piekły same chleb dla ubogich. Sam to przed 40stu jeszcze lat widziałem.

8) Suszyć, być suchotami, było więcéj niż pościć. Nie jadano w dzień taki masła, mleka, i najczęściéj nic gotowanego. Suszono Poniedziałki dla uproszenia u Boga dobrego męża, dziś tak chwalebny zwyczaj ledwie między niektóremi garderobianami pozostał. Nie tylko cały tydzień, ale i niedzielę suszyć, było tę zasługę do najwyższego stopnia podnieść. *Przyp. aut.*

Opis krótki rzezi w mieście Humaniu, od czerni Ukraińskiéj dnia 20. miesiąca Czerwca 1768 roku zdziałanéj.

Z akt klasztoru Humańskiego ks. ks. Bazylianów wyjęty.

(Dalszy ciąg.)

Dodawali im w téj mierze odwagi i Prusacy, którzy przybyli dla skupienia koni w pięćdziesiąt luda, ale ci widząc, że się zabiera do bitwy, ile nie mający na to ordynansu, wyszli tą bramą spokojnie, około któréj nie znajdywało się hultajstwo. Jakoż spodziewać się należało, że gdyby nie podstęp, pewnieby Humań tak wielkiéj nie doświadczył klęski. Chociaż go bowiem, zacząwszy od godziny siódméj z wieczora, całą noc silnie i natarczywie hultajstwo dobywało, dając nieustannie z ręcznéj strzelby ognia i pędząc gromady z poblizkich wsi do wyrąbania i podkopania palów; porażeni jednak z miasta kartaczami i hakownicami, pochwytawszy nie mało swojego trupa, odstąpili. Widząc przeto, że zamysłu dopiąć nie może przemocą, postanowili użyć zdrady, która się i udała. Zbliżywszy się bowiem Gąta setnik z innemi naczałami ku bramie leżącéj od lasku Grekowa, jeżdżąc na koniu na znak pokoju i bezpieczeństwa, jednę chustkę białą u wierzchołka dzidy uwiązaną ukazywał, drugą zaś posłał do Młądanowicza, gubernatora z oświadczeniem, że jako pierwéj zaprzysiągł wierność panu i miastu, tak oblężonych w niczem skrzywdzić nie myśli, owszem przyrzeka wszelkie gubernatorowi posłuszeństwo, byleby go do miasta z kozakami dobrowolnie wpuszczono, przydał do tego i pogróżki: że w razie niepowolności wszelkiego zażyje starania i okrucieństwa do zemsty. Posłani chociaż rzecz przekładali po prostu, z taką jednak chytrością, że uwiedziony gubernator, nie kazał, owszem, jak twierdzą, zabraniał bronić miasta. Zkąd wróżąc dla siebie pewną zgubę oblężeni obywatele, nie mogąc zabezpieczyć życia, starali się o zabezpieczenie zbawienia, dla czego jedni udali się do kaplicy Bazyliańskiéj, drudzy do kościoła farnego

na modlitwę, gdzie jeneralne otrzymali rozgrzeszenie. Inni zaś, którzy się tam umieścić nie mogli, odbierali ten sakrament od ks. ks. Bazylianów na rynku i po ulicach. Trwoga nastąpiła między wszystkimi straszna; bojaźń łzy i wzdychania wyciskała, wszyscy ostateczne między sobą czynili pożegnanie. Po niedługiéj nakoniec sprzeczce osobliwie między Lenardem kapitanem, Markowskim, Chorążym nadwornym niedozwalającymi hultajów wpuszczenia do miasta, i chcącymi dać razem ognia z armat i ręcznéj strzelby do zbliżających się ku bramie, a gubernatorem zezwalającym, otworzono bramę, przy powitaniu Gąty, Zieleźniaka i innych przedniejszych wystawionym na stole chlebem i solą przez mieszczan, podług zwyczaju dawnego i przy assystencyi przedniejszych urzędników. Wsunął się natychmiast tłum wielki hultajstwa i niezwłocznie przydano mocną straż do kaplicy, kościołka i bożnicy żydowskiéj, otoczono zewsząd ratusz. Wzięto gubernatora z całą familią do jednego mieszczanina domostwa w ścisły areszt, a po namówieniu się Gąty z Zieleźniakiem przez niejaki czas, gdy zawołał Gąta na kozaków: Nuże bracia! czas rozpoczynać dzieło, rozpoczęto okrucieństwo, którego opisać dostatecznie jest rzecz niepodobna. Ci najprzód dzikiego doświadczyli zapędu, którzy się w rynku znajdowali: kłóto, rznięto, zabijano po ulicach i domach, bez żadnego ni na osoby, ni na płacz i proźby względu, rzucano wzgórę na powietrze lub na dachy przeszyte dzidami niemowlęta, a kiedy spadłszy żyły, też samę im mękę zadając, powtórnie gubiono. Płacz, wrzask, proźby napełniały powietrze, okropny jęk wydawały matki, którym pruto wnętrzności, aby z nich wydobyty płod okrucieńskim zatracono sposobem. Oparli się wprawdzie téj zapalczywości skupieni konfederaci i nadworni żołnierze, ale że nie mieli dobrych przywodzców, ponieważ Lenard kapitan zniechęcony, natychmiast po sprzeczce zaszłéj z gubernatorem wymknął się z miasta; przeto postrzeliwszy kilkunastu z hajdamaków, a kilkudziesięciu trupem położywszy, sami do szczętu wytępieni zostali. Gdy już tedy żadnéj nie było przeszkody, jedni się udali do farnego kościołka, drudzy do kaplicy Bazyliańskiéj. Do kościołka, gdy się wsunęli, jeden z Attamanów wskoczył na ambonę, i ztamtąd łżąc bezwstydnie zgromadzonych obywatelów, wyszydzając obrzędy i nabożeństwo, bluźnierskie na sakramenta, obrazy i na całą wiarę katolicką miotał zniewagi; a nakoniec, gdy zawołał: rznijcie! każdy niby wściekły do najpoważniejszych i najdystyngwowańszych porwał się osób. Księdza Wadowskiego, kommendarza przy ołtarzu spisą skłuto; jednych obnażano, drugich siekierami rozcinano, trzecich strzelano, innym nożami, dzidami, drągami śmierć zadawano, wywlekano za włosy sędziwych starców i delikatne damy, którym publicznie gwałt czyniono, rozdzierano niemowlęta. Toż samo wyrządzano znajdującym się i w kaplicy Bazyliańskiéj, gdzie ks. Kosteckiego, rektora szkół Humańskich, pierwéj postrzelonego, potém wyrzucone od hultajstwa hostye na pogardę zbierającego po ziemi, i one pożywającego, spisami zakłuto i w rynsztok wrzucono. Ks. ks. zaś Jana Lewickiego wicerektora, Eliasza Magierewicza, Liberyusza Oczawskiego i Majewskiego Bazylianów wyciągnąwszy z kaplicy i obnażywszy z sukien, okrutnie bito, aby ukazali poukrywane klasztorne sprzęty i obywatelskie depozyta, których nie znalazłszy, ponieważ już przez innych hultajów w lochu wykopane zostały, wplótłszy pomienionych zakonników w kije, bijąc po głowie, twarzy, plecach kańczugami, ratyszczami, kijmi, koląc zwolna spisami, z urąganiem i szyderstwem około ratusza nago oprowadzonych i niepodobnych już do życia za wstawieniem się niektórych mieszczan pod straż ścisłą do domu Ignacego Rohatego mieszczanina oddano, a kiedy kapłan ruski cerkwi pod tytułem Ś. Michała Archanioła Paroch, który dotychczas w Schizmie za granicą zostaje, mocno nalegał, ażeby zabici byli, wyprowadzonych na ulicę blizko wyż pomienionéj cerkwi pokłuto, ciała także na urąganie zostawiwszy. Nie mniejszego okrucieństwa doświadczyli i Żydzi, których w saméj bożnicy na trzy wyrznięto tysiące. Widzieć na ten czas było taczających się w własnéj posoce i proszących, aby kto dobił zranionych to bez ręki, to bez uszu krwią zbroczonych, nago po ulicach biegających, którym resztę nędznego życia odbierało siekierami i drągami zgromadzone z pobliższych wsi chłopstwo. Widzieć było, jak różne osoby z lochów, chept, rowów i innych skrytych kątów wyciągano, uciekających zaś chwytano i do jednego miejsca trzodami spędzano. Jak kryjących się spostrzegłszy same nawet niewiasty, przykładem swych mężów rozsrożałe, ożogami, nożami, rydlami, sierpami raniąc i zabijając, dzieci swoje do podobnéj srogości zagrzewały i zaprawiały. Jak nie tylko dwórki szlacheckie z majątków, trupów z odzieży do nagości, ale też i kościoł i kaplicę Bazyliańską z sprzętów i ozdob odzierano i wszelkie depozyta obywatelskie, których było nie mało, zabierano i do Gąty na skład ściągano. Jak jedni w zwleczone z trupów suknie, rzucając hydne swe łaty, przyodziewali się, drudzy usiadłszy z pogardą na ołtarzach, odkręcali chodaki i buty lub inne odzienia wciągali. Jak gdy Ataman Tytyk, cożkowiek mający jeszcze w sobie bojaźni bożéj, obwiniętą korporałem, puszkę z przenajświętszym sakramentem z kościoła do cerkwi unosił, wytrąciwszy mu ją z rąk, rozsypane po ziemi hostye świętokradzko nogami

deptano i z krwią sączącą się z trupów zmieszano. Jak jedni krucyfixy łamali i zelżywie na nie plwali, drudzy poubierawszy się w ornaty, na nierząd się udawali, inni przedziurawione pateny uwiesiwszy na wstęgach, na kształt orderów nosili, a kielichów do opojstwa zażywali. Upojone już krwią niewinną swoich ziomków i panów hultajstwo, wygubiwszy więcéj niżeli ośmnaście tysięcy w siedmiu prawie godzinach ludu różnego stanu, zaczęło się nieco dnia tego uspokajać, aby zaś oszczędzenia ostatku spędzonych i z różnych kryjowek pozwlekanych znalazło pochop, postanowiło onych krzcić sposobem dawniéj w obrządku greckim praktykowanym, pogrążając całego człowieka potrzykroć w wodzie przygotowanéj w kadzi; tym końcem spędzono wszystkich do cerkwi pod tytułem: Śgo. Mikołaja, a gdy staruszek kapłan nie chciał onych krzcić, ile już okrzconych, zabiwszy go kijmi, udali się do kapłana wyżéj wspomnionego parocha Cerkwi pod tytułem: Śgo. Michała Archanioła i tam postanowienie uskutecznione zostało. Kapłan bowiem ten uprzedzony błędem, że chrzest sprawowany przez kapłanów złączonych z kościołem rzymskim był nieważny, chętnie przedsięwziął żądaną czynność, chociaż jéj sami sprowadzeni approbować i przyjąć niektórzy nie chcieli, ale tych bardzo mała była liczba; ledwie bowiem trzy znalazło się osoby, które wolały śmierć ponieść okrutną, aniżeli przyjąć chrzest powtórny. Ochrzconych pozabierało między siebie hultajstwo. Tegoż dnia, gdy się już noc zbliżała, kilku zdjętych ciekawością zaczęli dobywać zamkniętéj baszty, znajdującéj się w mieście niedaleko zachodniéj bramy, z których jednego natychmiast zabił z pistoletu Szafrański geometra nadworny dziedzica, który się w niéj krył z swoim służącym. Rzecz ta mocno potrwożyła hultajów, dla czego jedni spędziwszy chłopstwo, kazali siekierami wycinać, drudzy sprowadzili armatę, z któréj dawszy ognia do baszty, samego tylko zabili pod dachem kryjącego się służącego, rzucili się przeto z siekierami do drzwi, kędy, chociaż mocno się bronił i kilku zabił Szafrański, dobyty jednak przemocą, rozsiekanym został. Zapalczywy umysł Gąty stawszy się tak strasznego okrucieństwa i tak wielkiéj klęski narzędziem, powinienby się już był uśmierzyć; ale rozbukana srogość i nienasycona jeszcze tylu zgubą ludzi zemsta nie dozwoliła mu przepomnieć o Młodanowiczu gubernatorze, do którego największą czuł w sobie zawziętość z téj przyczyny: Uwiadomiony o rozruchach w Ukrainie wszczętych świętéj pamięci wojewoda, zabezpieczając Humańszczyznę kilku tygodniami przed rzezią napisał list do Gąty pełen łaskawych wyrazów, przyrzekając utrzymać przy nim futory, czyli już posiadane folwarki dziedzictwem, a dwie wsie puścić dożywociem i inne dobrodziejstwa, byleby w bronieniu Humańszczyzny, a osobliwie Humania od hultajstwa był wiernym, czułym i starannym; Młodanowicz listu tego, czyli to przez zazdrość, czy przez wzgardę, czyli z innych jakich przyczyn, Gącie ani oddał, ani ukazał, o którym się on przecie najprzód zkądinąd dowiedział, a potem go między rzeczami Młodanowicza zabranemi i do niego zniesionemi wynalazł. Stawić go zatem przed sobą z żoną i dziećmi rozkazał, a pełen złości te do niego wyrzekłszy słowa; Zdrajco! Zmienniku! ty jesteś tego okrucieństwa powodem! ty jesteś téj krwi, wskazując na trupów, rozlania przyczyną! czemużeś mi tego listu pańskiego, trzymając go w ręku, nie ukazał? Cóż ci się z utajenia go przedemną zawiązało? silnie go w odkrytą głowę ordynką ugodził; padł mu skrwawiony Młodanowicz do nóg, ale go natychmiast przygotowani kozacy w najdrobniejsze rozsiekali cząstki; żonę z dziećmi, zalane rzewnemi łzami i proszące miłosierdzia, wprzód obnażone zewsząd otoczywszy, po różnych rozpustnych najgrawaniach spisami pokłuli. Właśnie pod ten sam czas przyprowadzono w sirak stary przyodzianego i bosego Skarzyńskiego, ekonoma humańskiego, którego chociaż starał się Gąta od śmierci ochronić, za naleganiem jednak chłopstwa, które nie raz przez niego karane było, w łeb kulą ugodzony, stał się ofiarą zemsty. Okropny widok, który wielkie mnóstwo czyniło trupów i krew niewinnie przelana, którą ziemia i ściany zafarbowane zostały, tudzież spodziewany smród, ponieważ trupów zakopywać zakazano, sądząc, że są niegodne wnętrzności ziemi, niepozwoliwszy spokojności dzikiemu hultajstwa umysłowi i dalszego w mieście przebywania, przymusiło go do wyciągnienia z łupem na pole leżące ku południowi za miastem, nazywające się Karpowka i założenia tam obozu, który, gdy okopami i armatami opatrzono, przystąpiono do podziału hałastry na Sotnie, czyli gromady, z których każda składała się z sta zabojców, i wyznaczenia wyższych rang. Obwołano najprzód przy odgłosie armat i ręcznéj strzelby kilkakrotnym hetmanem Maxyma Zieleźniaka, pułkownikiem Gątę, obóch zaś książętami, pierwszego na Śmielańszczyznie, innym inne porozdawano rangi, każdemu zaś tém większą, im więcéj w zdziałanym dokazywał mordzie. Rząd natenczas w Humaniu dostał się niejakiemu kozakowi nazwiskiem Ułasienko, który potem znaczne z podatków z całéj humańszczyzny zebrawszy pieniądze, przenikając pewne hultajstwa rozproszenie, uszedł na Wołoszczyznę. Nowo ogłoszeni urzędnicy wielkie ze zbytkiem wydawali bale. Furaże z całéj okolicy przystawiano licznie; miodu, wina, wódki zebrano beczek około półtorasta, z czego codziennie przez dwa

prawie tygodnie czynili rozgardiasze przy różnym wrzasku, okrzykach, muzykach, tańcach i innych rozpustach. Gątę wszelako zawsze widziano w niespokojności i trwożnem pomieszaniu, w którem zostając, nie raz się z temi dał słyszeć słowy: Bracia! wątpię, abyśmy to wypić mogli, cośmy nawarzyli. — Nastąpił w tymże samym czasie i dział zebranego łupu; z sukna, bławatów, futer, różnego odzienia i wszelakich innych sprzętów kilkanaście dużych ułożono mogił, prócz pieniędzy i zegarków, których nie mała była liczba, samego srebra połamanego na sześć znajdowało się skrzyń. Zieleźniakowi, prócz innych drogich wielu rzeczy, trzy z srebrem dostały się skrzynie, które, chociaż nie równie więcéj były warte, za dziewięć jednak je tylko tysięcy przedał Zieleźniak pewnemu kupcowi do Kijowa. Resztę srebra i droższéj zdobyczy przyznano Gącie. Inne zaś sprzęty podzielono między innych, podług rangi i okazanego w rzezi męztwa. Ponieważ trup letniéj pory przez trzy dni leżał niezagrzebany, smród nieznośny przymusił pozostałych mieszczan, że skupieni razem nalegali u Zieleźniaka i Gąty, aby był uprzątniony; ale że kopać jamy było rzeczą trudną, nakazano przeto, aby został przez chłopstwo spędzone zrzucony do studni znajdującéj się w samym rynku, leżącéj między wschodem, a północą w rogu lewym, obracając twarz ku wschodowi teraźniejszego ratusza, głębokiéj na kilkadziesiąt sążni, która, chociaż wiele trupów stało się pastwiskiem psów, przecież niemi napełnioną została. Te zaś, które znajdowały się za miastem, na pokarm bestyom i ptastwu zostawiono. Ocucone z opójstwa niby z letargu hultajstwo zamiast tego, coby miało ochłonąć z swojéj zajadłości i poprzestać okrucieństwa, złożyło radę, na któréj zgodzono się, aby kilka sotni wysłane były do pobliższych miasteczek i wsi na rabunki, rozboje i zaciąganie więcéj hałastry, któréj liczbę znacznie codziennie pomnażało chłopstwo, ktoby zaś więcéj zabił Polaków lub Żydów, temu wyższą przyrzeczono nadać rangę. Jakoż w miasteczkach Granowie, Tepliku, Daszowie, Monasterzyszczu, Hajsynie, Konele(?) Bosówce, Ładyżynie, i po wsiach pobliższych Polacy i Żydzi równego doświadczali okrucieństwa, jak w Humaniu, zkąd wielkie zdobycze codziennie prowadzono do obozu. — Setnik nazwiskiem Szydło w pięćdziesiąt konnych kozaków, dobrze uzbrojonych i z dwoma armatami udał się pod tenczas do Bałty, miasteczka leżącego na pograniczu tureckiem, gdzie wyrznąwszy Żydów i szlachtę pozostałą, ponieważ wielu zbiegło na stronę turecką za rzeczkę Kodymę, zabrawszy ich majątek, domagał się u Baszy tureckiego o wydanie reszty; ale gdy mu to odmówiono, postanowił wrócić się do obozu i na tem pewnieby przestał, gdyby w przytomności jego Turczyn, nie wiem, z jakich powodów, nie zabił Greczyna; czem zagniewany setnik, przybrawszy sobie drugie tyle, ile miał hultajów, tak silny do strony tureckiéj przypuścił attak, że mimo długi odpór Turcy odstąpić z miasta musieli, rejterując się zwolna z zabranemi droższemi sprzętami, i chociaż jednego z atamanów i kilku hajdamaków zabito, póty przecież attaku nie poprzestał, póki całéj strony tureckiéj nieopanował i wszystkich, którzy się ucieczką nie ratowali, nie wygubił. Przybyli wprawdzie na pomoc wkrótce Tatarowie, ale niewcześnie; ponieważ hultajstwo pochwytawszy, co było na pogotowiu z przydatniejszych rzeczy, rychło umknęło. Na przybycie pomienionego setnika i innych, którzy w tymże czasie powracali z zdobyczą i zaciągnioną zewsząd hałastrą do obozu, bito z armat i ręcznéj strzelby, czyniono radośne okrzyki i wymyślne, podług prostego gustu dawano uczty. Ale się ta radość w krótce zamieniła dla zbójców na nieznośny smutek i nieszczęście, a dla kraju na pociechę. W czasie albowiem samego zbytku hultajskich uciech, doniesiono Zieleźniakowi i Gącie, że porucznik rossyjski, nazwiskiem Krywoj, z sześćdziesiąt Dońców do miasta przybył. Potrwożyło to wielce zbójców, a przeto postanowili mieć się na ostrożności i stronić od Rossyan; ale roztropność porucznika tyle potrafiła pozornéj przyjaźni okazać dowodów, że Zieleźniak i Gąta przekonani u siebie o jéj rzetelności, nie tylko go na wzajemne do siebie zapraszali uczty i znaczne przesyłali podarunki, ale nadto dozwolili mu swoje w mieście, uchyliwszy kozaków, postawić warty. Aby zaś swą usprawiedliwili czynność i mocniéj między nim, a sobą zaszły utwierdzili związek, ukazali ów zmyślony przez Melchisedeka rossyjskiéj imperatorowéj ukaz, o którym się wyżéj namieniło, oświadczając się, że gotowi są na rozkazy imperatorskie i krew do ostatniéj wylać kropli; z tego powodu zamierzyli jednomyślnie udać się do Berdyczowa dla zniszczenia tam znajdujących się konfederatów.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Pisma rozmaite wydawane przez T. D. Tomik I. W Wilnie w druk. Blumowicza 1838. r. 8vo. 128 stron.

Tomik ten zawiera:

1) Geniusz wieków, czyli postęp oświaty, zwalczone i do zwalczenia przesądy p. ks. Trynkowskiego.
2) Zjazd w Łucku r. 1429. (wyciąg z historyi Witolda) p. J. Kraszewskiego. (Żywy opis, zwłaszcza charaktery działających osób trafnie skreślone. Oto jest treść jego.)

Pozorem tego zjazdu w Łucku były sprawy wołoskie do roztrząsania między Zygmuntem a Władysławem i pogodzenie krzy-

żaków z Polską i Litwą, do czego Cesarz za arbitra był obrany. W istocie zaś chodziło Witoldowi, aby mu dozwolono koronacyi na króla Litewskiego. Polacy już wiedzieli o tém: dawno duma Witolda lękać się im kazała, aby od nich z Litwą się nie odłączył, a mało mogli polegać na Władysławie starym już, słabego charakteru i sami gotowali się opierać. . . . Tuszył sobie Witold, że jego prośby, podarki, wspaniałość wymogą na nich, że jedni groźbą, drudzy złotem się nakłonią, a reszta milczeć będzie. Charakter tylko Zbigniewa Oleśnickiego nie pomału go zastraszał. Na niego to najsilniejszych i wszystkich trzeba było sposobów, aby podbić człowieka, którego położenie czyniło niedostępném przekupstwu i groźbie, a charakter prośbom i pochlebstwu. Gotował się Witold wspaniałością ich oćmić, grzecznością ułagodzić, podarkami ujmować, a przyjaźnych sobie Polaków użyć do pośrednictwa. . . Na czele senatorów stał Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup gniezn. Prymas, człowiek z nizkiego stanu, zbiegiem okoliczności, giętkością charakteru, na pierwszą godność królestwa wyniesiony, urodził się z ubogich rodziców Derztawy i Krystyny; lecz znać, że zrazu ukazywał dobre usposobienia, gdy ojciec oddając go do szkółki przy farze Bensowskiéj na naukę, tak do niego miał przemówić: »Oddaję cię synu nie między żaki do szkoły, ale w poczet biskupów, do którego dojść powinieneś.« Lecz nie wszystko w jego życiu było godne pochwały. Wyzucie z biskupstwa poznańskiego Piotra Wiszę r. 1412. i przywłaszczenie go sobie, które Concilium konstancyeńskie zganiło, ulitowawszy się nad biednym Piotrem, zbyteczna żądza wyniesienia się i zbogacenia, uległość wyższym aż do pochlebstwa kaziły go. Liczna familia obsiadła go, a on ją podtrzymywał i wspomagał, gdzie główną i jedyną myślą jego życia było podniesienie jéj i wydźwignienie z téj nędzy, w jakiéj przecierpiał młode swoje lata. Nagle zbogacenie arcybiskupa i podniesienie jego familii z ubogiéj szlachty do senatorskich krzeseł, dawały powód do rozmaitych posądzeń: między innemi chodziła wieść u ludu, że na swoję korzyść przywłaszczył sobie tajemnie ukryte skarby królów polskich w Poznaniu, o których mu dał wiedzieć wikariusz tumu Poznańskiego, gdyż wiedzę o nich wikariusze tylko jedni drugim z kolei podawali. Nie wchodząc w to, ile posądzenie takowe mogło być sprawiedliwe lub nie, ze wszystkich czynności arcybiskupa wyczytać można tylko chciwość, skrzętność, wylanie się dla familii, a taką przytém giętkość charakteru, że w okolicznościach trudnych zawsze szedł środkiem, aby nie tknąć nikogo. Od niego Witold najmniéj się spodziewał oporu, będąc pewny, że zastraszyć starca potrafi lub ująć, tak aby przynajmniéj nie szkodził.

Całkiém inny był charakter Zbigniewa Oleśnickiego: ten ze znacznéj i bogatéj familii, z żołnierza ksiądz, dopiero zacząwszy życie od szabli i bitwy, gotów był śmiało przeciw wszystkim za swoje zdanie wojnę prowadzić. Wyniesienie swoje winien był osobliwszemu zdarzeniu, w którém życie ocalił królowi w bitwie pod Grünwaldem, gdy krzyżak Dipoldt Kökeritz napadł na niego. On choć złamaną tylko kopiją miał w ręku, tak go nią silnie uderzył, że krzyżaka zwalił z konia, a król tymczasem i otaczający dobili. Za to obsypany od króla łaskami r. 1423. został biskupem Krak. Ale wywyższenia i łaski nie ugięły jego żołnierskiego charakteru. Śmiały, uporczywy, zuchwały nawet, gdy o utrzymanie zdania lub o dokonanie myśli chodziło, ani na króla, ani na nikogo w świecie nie zważał. W rzeczach wiary gorliwość jego dochodziła do najwyższego stopnia, prześladowaniem sekty Hussytów, zmusił ich do zupełnego opuszczenia dyecezyi Krak. Przytém szczodry i śmiały, jednał serca lub strachem podbijał, lecz żadnego oporu nie ścierpiał.

Codzienne potrzeby Witoldowéj kuchni w Łucku, która karmiła tylu przyjezdnych, cytują kronikarze za dowód jego dostatków, wspaniałości, a razem ogromu tego zjazdu. Szło codzień na wykarmienie ich 700 wołów i jałowic, codzień 1400 baranów, po 100 żubrów, łosi i dzików, prócz innych pokarmów; wypijano codzień 700 beczek miodu, wina, małmazyi, piwa i innych trunków. Witold o królewską dobijając się koronę, po królewsku gości przyjmował.

Następuje artykuł: Niektóre przysłowia ludu Litewskiego, z rękopisów Ludwika z Pokiewia, dla nas mniéj interesujący.
4) O Herulach, pobratymcach Litwinów; bezimiennie; (czy nie Narbutta?) i
5) Franciszek Petrarka do potomności; ten artykuł nas najbardziéj zajął.

Jednym z waszéj liczby potomni! śmiertelnym byłem człowiekiem. Urodzenie moje ani zbyt świetne, ani też nizkie, ze starożytnego jednak, jak August Cesar o sobie mówi, gniazda. Z natury wziąłem prawy i skromny umysł, lecz go zaraza obcowania skaziła; dzieciństwo mnie uwiodło, wiek młodzieńczy karcił, starość naprawiła i przekonała doświadczeniem, jak prawdziwém było, co niegdyś czytałem, że młodość i rozkosze są marne, że twórca czasów i wszystkich wieków, dopuszcza niekiedy obłąkania na ludzi, z własnéj nicości dumnych, aby choć późno przez błędy sami siebie poznali.

Młodzieńcem będąc, miałem więcéj zręczności niż siły; nie chlubię się rzadką urodą, ale w kwitnących latach mogłem się podobać. Płeć świeża, pośrednia między ciemną i bladą, oczy żywe, wzrok przez długie lata mocny, niespodzianie dopiero po sześćdziesiątym roku mię zdradził, i po niewolnie używać szkła przymusił. W całém życiu najzdrowsze ciało, lecz starość nadeszła, ze zwyczajnym orszakiem chorób.

Z uczciwych rodziców, obywatelów florenckich, majątku miernego, a raczéj graniczącego z niedostatkiem, wypędzonych z ojczyzny, urodziłem się w Arezzo na wygnaniu r. 1304. 1. Sierpnia w poniedziałek przed wschodem słońca.

Pogardzałem bogactwami, nie żebym dostatków sobie nie życzył, ale z bojaźni prac i starań nieoddzielnych ich towarzyszów, nie żebym poczytywał za pracę przygotowanie wspaniałéj uczty, ale że umiarkowanym pokarmem i pospolitemi potrawami utrzymywałem życie przyjemniéj, niż opływający w zbytkach potomkowie Apicyusza. W bankietach przeto długo w noc przeciąganych, skromności i dobrym obyczajom przeciwnych, nigdym nie smakował, poczytując równie za rzecz kłopotną jak niepożyteczną, zapraszać lub być zapraszanym. Lecz pożycie z przyjaciołmi tyle ma powabu, że nic nad ich obecność milszego nie znam, że rzadki dzień i chyba nie z mojéj winy, w którymbym nie dzielił z nimi mojego stołu. Nie lubię okazałości i przepychu, nie tylko dla tego, że obraża pokorę i cnotę, lecz że przyczynia zatrudnień i miesza spokojność.

Miłość gwałtowna, jedyna, cnotliwa dręczyła mię w młodości, i zaiste byłbym się dłużéj z nią biedził, gdyby śmierć okrutna, ale zbawienna, nie zgasiła coraz wzmagających się płomieni. O gdybym równie mógł wyznać, żem od rozwiązłości był wolny! to przynajmniéj śmiało powiem, że błądząc przez krewkość wieku i ciała, zawsze z duszy brzydziłem się jéj podłością, a około czterdziestego roku, lubo jeszcze pełen życia i zdrowia, wyrzekłem się nie tylko uczynków, lecz nawet myśli nierządnych, jak gdybym nigdy niewiasty nie widział. Poczytuję za największą szczęśliwość i szczere dzięki składam Bogu nieśmiertelnemu, że mnie wcześnie i w saméj sile wieku, z tak obrzydliwego jarzma wyzwolił. Ale idźmy daléj.

Dumę postrzegałem na innych, nigdy na sobie: jakoż będąc zawsze małym w oczach świata, jeszcze tańszym we własnych byłem. Mój gniew bardzo często mnie samemu, innym bynajmniéj nie szkodził. Ubiegałem się za szlachetną przyjaźnią i wiernie ją chowałem. Mówię śmiało, bo w przekonaniu prawdy, że mimo wrodzoną drażliwość, prędko zapominałem urazy, a dobrodziejstwa zawsze pamiętałem. Najwięksi władzcy współcześni kochali mię i poważali, nie wiem dla czego? — sami to zapewne znają — z niektórymi z nich tak postępowałem jak oni ze mną. Ich potęga nie przyniosła mi żadnéj przykrości, a wiele pożytku.

Z władz umysłowych rozum przemagał u mnie nad dowcipem. Obdarzony pojętnością do wszystkich nauk zacnych i pożytecznych, największą skłonność czułem do filozofii moralnéj i do poezyi. Późniéj jednak i tę ostatnią cokolwiek zaniedbałem, gdym się bliżéj obeznał z księgami pisma, i

odkrył w nich tajemną, nieznaną przedtém słodycz, poezyą zatrzymałem jednak dla ozdoby. W pośród mnóstwa przedmiotów przykładałem się pilnie do poznania starożytności, bo wiek własny tak mi się zawsze nie podobał, iż gdyby miłość przyjaciół nie pociągała mię ku niemu, wolałbym zaprawdę urodzić się w każdym innym czasie, wolałbym zapomnieć obecnego stanu rzeczy, a przenieść się całą duszą do przeszłości! Z téj przyczyny niezmiernie lubiłem dziejopisów, chociaż mię ich sprzeczność nieraz gorszyła; w podobnym razie trzymałem się albo podobieństwa do prawdy, albo powagi pisarza. Wymowę moję nazywali niektórzy świetną i mocną, mnie zdawała się być ciemną i słabą. W potocznych rozprawach z przyjaciołmi i znajomymi nigdym się nie starał o ozdoby, i dziwno mi, jak August Cezar mógł tyle nad tém pracować: lecz kiedy rzecz sama, kiedy miejsce lub słuchacze zdawali się tego wyciągać, nie oszczędzałem starań — z jakim skutkiem? nie wiem; niech ci osądzą, przed którymi stawałem. — Próżna chwała szukać wziętości ze czczego brzmienia wyrazów.

Nad brzegiem bystréj rzeki w wiosce Ancisa pod Arezzo przepędziłem dzieciństwo pod strażą rodziców, a wiek młodzieńczy pośród próżności z częstemi jednak przerwami. Cztery lata mieszkałem w Carpentras, miasteczku blizko Awinionu na wschód leżącém, dwa z nich poświęciłem nauce początków grammatyki, dialektyki i retoryki, ile lata moje pozwalały, i ile w szkołach uczono, co, jak małém być musiało, sam miły czytelniku poznajesz. Na drugie lat cztery udałem się do Montpelier na naukę prawa, późniéj na lat trzy do Bononii, gdzie całego zbioru prawa cywilnego słuchałem, rokując piękne, jak wielu sądziło, nadzieje, gdybym w przedsięwzięciu wytrwał; lecz zaniedbałem go natychmiast, skoro sam sobą rządzić począłem. W dwudziestym drugim roku powróciłem do domu: domem nazywam awenionskie wygnanie. Tu dopiero począłem być znanym, i wnet towarzystwa mego znakomici mężowie poszukiwali. Między innymi byłem także dobrze widziany od sławnego i zacnego rodu Kolumnów, którzy wtenczas na dworze rzymskim przebywali, albo go raczéj zdobili. Wezwany od nich i nad wartość moję szacowany, z zacnym i nieporównanym mężem Jakubem Kolumną, biskupem lomberskim, pojechawszy do Gaskonii, między Pirynejskiemi górami niebieskie prawie lato, wśród względów pana i uprzejmości domowników przepędziłem. Za powrotem przeniosłem się do kardynała Jana Kolumny, i długo u niego nie jako u pana, lecz jak u ojca, a raczéj jak u brata najmilszego, i jak we własnym domu mieszkałem. Około tego czasu żywość młodzieńcza skłoniła mię do zwiedzenia Francyi i Niemiec. W téj podróży pierwszy raz Paryż widziałem. Potém udałem się do Rzymu. Powróciłem nazad, lecz w ogólności nie lubiąc miasta, szukałem schronienia, jak żeglarz portu, i znalazłem dolinę małą ale samotną i przyjemną, która się doliną z a m k n i ę t ą (Vaucluse) nazywa, blizko Awinionu: ujęty powabami tego miejsca, przeniosłem się tam natychmiast z mojemi książkami. Zaniosłoby się na obszerne opowiadanie, gdybym chciał wypisywać, czém przez długie lata zajmowałem się w tém ustroniu; ale jedném słowem, ilekolwiek dzieł wydałem, te wszystkie w niém albo ułożone, albo zaczęte, albo przynajmniéj pomyślane zostały, a liczba ich jest tak znaczna, że mnie dotąd jeszcze zatrudniają i nużą. Położenie miejsca natchnęło we mnie ochotę do napisania kilku sielanek i dwóch ksiąg o życiu samotném do Filipa. Błąkając się raz między górami w ostatnią sobotę postu, wielką uczułem ochotę wielbić w poemacie bohaterskim Scipiona Afrykańskiego, którego imię od dzieciństwa dziwnie lubiłem. Wnet z zapałem jąłem się do pracy, ale przerwały ją późniejsze zmartwienia i troski; od miejsca akcyi dzieło nazwałem A f r i c a, które szczególniejszym losem, czy z uwagi na mnie, czy ze względu na przedmiot, od wielu przed czytaniem jeszcze wysoko było cenione.

Gdy się w mojéj dolinie bawię, rzecz niespodziana, jednego dnia i z Rzymu od Senatu i z Paryża od Kanclerza otrzymałem listy wzywające mnie na uwieńczenie laurem poetyckim. Cieszyłem się jak dziecię; i nad tém wahałem się tylko, któremu wezwaniu dać pierwszeństwo. Radziłem się kardynała Jana Kolumny, a idąc za jego zdaniem, puściłem się do Rzymu. Stanąłem nakoniec u celu podróży, a lubo niegodny z wielką radością Rzymian żak nieokrzesany, laurem poetyckim ozdobiłem skronie. Wieniec nie przyczynił mi nauki, ale tym więcéj zazdrości.«

Następuje w tém dziełku stary przekład polski Petrarki t r y u m f u m i ł o ś c i, zapewne Jagodyńskiego, a potém l i s t z e w s i.

S.

Doniesienia literackie.

Z Warszawy z ostatnich dni Listopada. — Wyszedł tu zapowiedziany już dawniéj Pierwiosnek noworocznik na r. 1839, wydany p. Paulinę K. Pisma warszawskie zawierają zachwalającą to dziełko krytykę. — Z pism peryodycznych wyszedł tu numer 14. i 15. tomu drugiego Świata dramatycznego, i zawiera: Garrik doktorem (dokoń.) Wyjątki z pamiętników Flerego (dokoń.) Przeszkodnicki. — Teatry londyńskie. Duńska literatura i dramatyka. — Dnia 27. umarł tu znany w literaturze Ludwik Osiński, który piśmiennictwo polskie kilku klassycznemi przekładami tragedyi Kornela zbogacił. Jego nekrolog napisał F. S. Dmochowski. Umieszczamy wyjątek z niego: »Urodził się r. 1775 w Podlaskiem. Odbywszy pierwsze nauki w Łomży w szkołach Pijarskich, sposobił się w latach młodzieńczych do stanu nauczycielskiego, wypadki i przemiany krajowe odwróciły go od tego zawodu. Za rządu Pruskiego w r. 1797, wydał pierwsze próby poetycznych prac swoich, a między rokiem 1801 i 1804, tłómaczenie Alzyry, Cyda i Horacjuszów, które od razu ugruntowało sławę Osińskiego i postawiło go w rzędzie najznakomitszych ówczesnych pisarzy. Wielu pamięta jeszcze ten zapał, z którym Publiczność zajęta wzniosłemi myślami Kornela i pięknym wierszem, jakiego nie słyszała jeszcze na scenie, podniosła na rękach (!) swoich znakomitego tłumacza, i złożyła mu hołd wdzięczności i uwielbienia. W owéj epoce, ścisła przyjaźń łączyła Osińskiego z Franciszkiem Dmochowskim, tłumaczem Iljady, który starszy od niego o lat 13, był mistrzem i przewodnikiem młodego poety. W kilka lat potem, Osiński wymownym głosem uczcił pamiątkę i zasługi zmarłego przyjaciela. Za utworzeniem Kstwa Warszawskiego, Osiński powołany do służby publicznéj, objął urząd Sekretarza jeneralnego w Kommissyi Sprawiedliwości, a następnie pisarza Sądu kassacyjnego. W owym czasie, przekład Cynny, tragedyi Kornela, drama liryczna Andromeda, kilka wzniosłych poezyi, a szczególniéj Oda o Koperniku, mowa miana w towarzystwie przyjaciół nauk na uczczenie pamiątki Fr. Dmochowskiego, obrona pułkownika Siemianowskiego, 4ry tomy pamiętnika Warsz. zbogaciły naszę literaturę i pomnożyły zasługi Osińskiego. W tymże czasie pełnił obowiązki sekretarza b. towarzystwa przyjaciół nauk. Upodobanie w poezyi i w sztukach pięknych, skłoniło go, iż opuścił na czas niejaki służbę publiczną, i objął przedsiębierstwo Warszawskiego teatru, po zasłużonym i gorliwym Bogusławskim. W tym nowym zawodzie, więcéj zważał Osiński na podniesienie i rozwinięcie sztuki dramatycznéj, niżeli na własne korzyści. Wystawienie w pięknych przekładach wielu znakomitych dzieł dramatycznych z obcych języków, tudzież oryginalnych tragedyi, komedyi i oper, odznaczyło epokę przedsiębierstwa Osińskiego, połączoną z mnóstwem przykrości, będących skutkiem wysileń, częstokroć nieodpowiednich i niewdzięcznych. W tymże czasie w organizującym się b. uniwersytecie Warsz. zdanie kommissyi oświecenia, zgodne z życzeniem całéj publiczności, powoływało Osińskiego na professora literatury ojczystéj; mimo nawału trosk i zatrudnień, przyjął to miejsce i zajmował je przez lat 12, zacząwszy od r. 1818.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*